

Michał Wyganowski

Morze Corteza, inaczej znane jako Zatoka Kalifornijska, to duża, wąska zatoka leżąca na wschodnim Pacyfiku, rozciągająca się wzdłuż północno-zachodniego wybrzeża Meksyku. Od zachodu zamyka ją górzysty Półwysep Kalifornijski, a od wschodu kontynentalne wybrzeże meksykańskie. Zatoka ma 1200 km długości i występują tu jedne z największych pływów na Ziemi – na północnym krańcu poziom wody może podnieść się aż o 9 metrów.

Owyprawie kajakowej w ten rejon świata zamarzyliśmy wraz z moim przyjacielem Jayem, Amerykaninem pochodzącym z Colorado, kilka lat wcześniej, gdy zmęczeni nieustannie padającym deszczem kończyliśmy wyprawę z Vancouver na Alaskę. Wiecznie przemoczeni i zmarznięci myśleliśmy o ciepłych krajach i o tym, jak pięknie byłoby powiosłować kiedyś w słońcu i ciepłym klimacie. Tak powstał plan przepłynięcia Morza Corteza.

Wyprawę zaplanowaliśmy na miesiące zimowe, gdyż temperatury panujące w tej części świata wydały nam się w tym czasie idealne. Do Meksyku wyruszyliśmy samochodem z Colorado, gdzie u przyjaciół w garażu przechowywałem swój sprzęt kajakowy. Podróż poszła nam bardzo sprawnie, w kilka dni bez większych przeszkód dojechalismy do punktu startowego naszej wyprawy, czyli miasteczka San Felipe leżącego na północnym krańcu zatoki.

Dwa dni zajęło nam dokupienie brakującego prowiantu oraz pakowanie kajaków, odstawienie samochodu na parking strzeżony etc.

Kajaki wypakowaliśmy do granic możliwości prowiantem oraz słodką wodą. Każdy z nas miał w kajaku ok. 35-40 litrów wody, dodatkowo mieliśmy ze sobą ręczną odsalarkę wody morskiej – wszak wyruszamy kajakami na pustynię, a kolejna cywilizacja oddalona jest o jakieś dwa tygodnie wiosłowania. Dodatkowo zabraliśmy ze sobą wędkę i różnorakie haczyki i błystki, by uzupełniać naszą dietę o świeże ryby. Morze Corteza to światowe akwarium, występuje tu 900 gatunków ryb, z czego 90 to endemity.

Przygotowani na wszystkie możliwości, 13 stycznia wypłynęliśmy, jak się rano okazało, nie bez kłopotów. Zatoka w San Felipe jest dość płytka, startowaliśmy podczas odpływu, więc morze cofnęło się o jakieś 400 metrów. Nasze wypakowane kajaki ważyły po 120 kilogramów, więc dostanie się z nimi



Fot. Archiwum autora

O AUTORZE

Michał Wyganowski jest podróżnikiem, żeglarzem, alpinistą, zdobywcą najwyższych szczytów obu Ameryk, a także Europy. Organizator oraz uczestnik wypraw w Andy Patagońskie oraz w najwyższe góry: Himalaje Nepalu i Himalaje Garhwału. Przepłynął kajakiem Inside Passage, czyli trasę z Seattle wzdłuż wybrzeża Kolumbii Brytyjskiej aż do Juneau na Alasce, żeglował na wodach Atlantyku i Pacyfiku. Jest pasjonatem wszelkich aktywności związanych z wodą oraz górami. Kontakt: wyga45@hotmail.com

do wody było nie lada wysiłkiem. Szybko zaczęliśmy żalować, że mamy aż tyle sprzętu i prowiantu, ale cóż – wszystko wydawało się niezbędne.

Pierwsze dni wiosłowania szybko uświadomiły nam, że nie będzie tak łatwo, jak myśleliśmy początkowo. Zimą klimat jest idealny, lecz silne północne wiatry, w połączeniu z prądami pływowymi, tworzyły bardzo nieprzyjemne fale, strome lub długie w zależności od pływów. Oba rodzaje fal bardzo nieprzyjemnie atakujące kajak od rufy, sprawiały nam wiele problemów, a przy wzroście wiatru do 20 węzłów pływanie kajakiem wydawało się

Meksykańska przygoda

czyli 1000 km kajakiem przez Morze Corteza z San Felipe do La Paz

Zaczyna wiać...
Fot. Michał Wyganowski

niemożliwe. Bardzo nas to zaskoczyło, gdyż wcześniej pływaliśmy podczas silniejszych wiatrów i problemów nie było. Kiedy wiatr się uspokoił, zrobiło się wspaniale – temperatura powietrza idealna (25 stopni C), piękne słońce i widoki. Brzegi to na przemian piaszczyste plaże lub skaliste klify, w oddali wysokie góry, roślinność typowo pustynna, w wodzie delfiny, wieloryby, żółwie morskie, foki i lwy morskie, a wokół niezliczone gatunki ptaków.

Średnio co dwa tygodnie udawało nam się dopłynąć do cywilizacji – jakiejś małej osady z jednym małym sklepikiem, gdzie można było kupić wodę oraz prowiant, napić się piwa, spotkać przeróżnych, ciekawych ludzi, których coś przygnało na te pustkowia. Każdy udzielał nam jakichś cennych wskazówek czy ostrzeżeń. Tak dowiedzieliśmy się o „los elefantes”, czyli lokalnych wiatrach zachodnich. Są to wiatry spadowe typu fenowego¹⁾, coś jak nasz halny. Zaczyna wiać nagle i to z siłą huraganu, więc jeśli jest się daleko od lądu, to pomoże tylko – jak to miejscowi powiadają – „Topolabampo”, czyli dryfowanie z wiatrem jakieś 200 km lub więcej na drugą stronę zatoki, gdzie rzeczywiście jest miejscowość o nazwie Topolabampo.

Szybko przekonaliśmy się na własnej skórze, jak groźne jest to zjawisko meteorologiczne. Podczas tych wiatrów pływaliśmy metr od brzegu, co bardzo wydłużało naszą trasę, gdyż musieliśmy opływać wszystkie, nawet najmniejsze zatoczki. Walka z wiatrem była wręcz niemożliwa, a rozbijanie obozu podczas takiego sztormu było wielką przygodą, czasem kończącą się pogonią w pław za odlatującym

1) Fen (z niem. Föhn) – ciepły i suchy wiatr wiejący z gór w doliny.

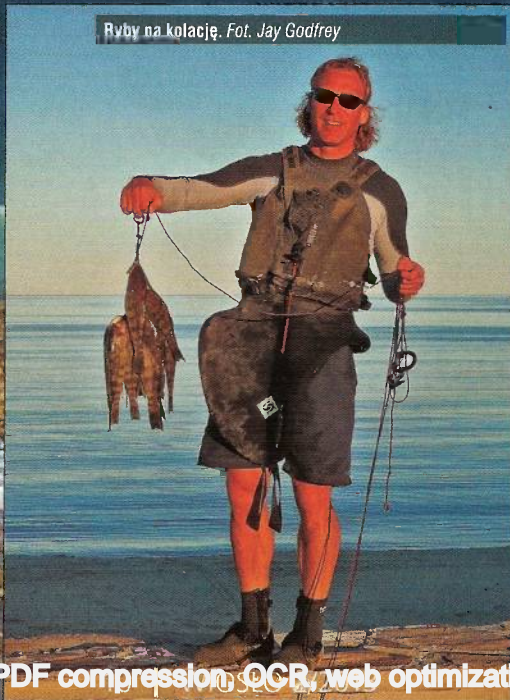


namiotem. Dodatkową trudnością było zdobywanie prognozy pogody, gdyż radio UKF nie odbierało żadnej stacji nadającej prognozy, chyba że ma się jakąś superwypasioną antenę na topie 10-metrowego masztu. Dobrą metodą, acz nie do końca pewną, było pytanie o prognozy napotykanym rybaków lub ich obserwowanie. Gdy rybacy wracają w kierunku lądu, to znaczy, że idzie sztorm i będzie się działo. W takim przypadku należało szybko

rozejrzeć się za dobrym miejscem na obóz, najlepiej osłoniętym od północy i od zachodu, i przygotować się na wietrzne dni.

Bardzo przydawała nam się odsalarka, gdyż czasami byliśmy odcięci od świata przez tydzień (a słyszeliśmy i o sztormach dwutygodniowych), w takich sytuacjach odsalarka ratowała nam życie, a wędki zapewniały pyszne posiłki. Gdy nudziły nam się ryby, łowiliśmy małże. Kiedy tylko pojawialiśmy się na

Ryby na kolację. Fot. Jay Godfrey



Odpoczynek na plaży wie wieloryba. Fot. Jay Godfrey

